SZUJA

WIERSZ

LUDWIKA MIEROSŁAWSKIEGO.

SZUJA

WIERSZ

LUDWIKA MIEROSŁAWSKIEGO.



PARYŻ.

W KSIĘGARNI POLSKIEJ

PRZY ULICY DES MARAIS-SAINT-GERMAIN, N° 17 BIS.

—

1835.

NIEZBĘDNE OBJAŚNIENIE.

« Maciej Szuja, Kujawiak rodem z Lubrańca, opuszczony od swoich « rodziców w niemowlęctwie i wychowany kosztem skarbu publicznego, « odznaczył się w czasie rewolucyi listopadowej gorącą miłosci ojczyzny « i nadzwyczajną nienawiścią ku Moskalom i Żydom. Obwiesiwszy na « Starem Miescie, w samże dzień powstania starego Izraelitę podejrza- « nego o Szpiegostwo, przyszedł nazajutrz oglądać trupa i z niewypo- « wiedzianem zadziwieniem, znalazłszy zupełne między sobą a wisielcem « podobieństwo, żądał scisłego wyszperania papierów nieboszczyka. — « Okropna bez trudności wyjawiła się tajemnica. . . . . Nieszczęsny mło- « dzian znalazł się ojcobójcą! . . . . »

« Przygnieciony niezbłaganą zgryzotą powlókł zatrute życie po polach « bitew i obcych krajach, aż zaplątawszy się między czerwcowych boha- « tyrów w Paryżu zginął, przywalony ogromnym krzyżem przewróconym « od granata, w klasztorze Saint-Mery. »

(Wyjęte z listu pisanego do Krakowa.)

SZUJA.

ŚPIEW PIERWSZY.

Nawiasem poznać może nam się przyda
Macieja Szui choć główne odcienia,
I Bohatera odrysować wiernie.—
Wystawcie sobie muszkuły Alcyda,
Pięść do rąbania skalnego kamienia,
Głos do spiewania w angielskiéj tawernie,
Przytém chód wolny, rozbójnicza mina;
Szorstkie brodzisko zgolone wpołowie
Tu owdzie rzadkim jeżyło się włosem;
Sierść ruda, prosta jak świńska szczecina,
Niesfornym wichrem sterczała na głowie,
A pod skrzywionym jak dziób orła nosem,

Pięcio-calowe wąsy opadały,
Gruntu z którego wyrastały godne.—
Na pierwszy widok w tył biedz było trzeba,
Lecz kiedyś spostrzegł dwie ogromne gały
Czarne, jaskrawe, miłe i łagodne,
Jak siostry gwiazdy na błękicie nieba,
Coś cię gwałtownie do niego zbliżało,
A jak cię słodkim upoił wyrazem,
Jak szatanowi co cię czarem mami,
Byłbyś mu oddał i duszę i ciało.
Z resztą nikt dzielniéj nie machał żelazem,
Ni chlubniejszemi się pysznił ranami.
Rodziców nie znał i sam siebie żartem
Przed braćmi miecza nazywał bękartem.
Birbant bez maski, otwarty i szczery,
Nikt tak bez żalu nie rozrzucał złota,
Ni go hojniejszą nie rozdawał ręką.
Szuja miał może lat dwadzieścia cztéry,
Ale już sławny w dziejach Patriota
Szczycił się Stoczkiem, Liwem, Ostrołęką;
Liczne winszują mu też przyjacioły;
Ten rękę bierze, ten na piersiach ściska,
Szuja kpi, prawi, łże w zebranem kole,
Jednak choć zawsze krzykacz i wesoły,

Kto go chciał poznać i uważał zbliska,
Tajną wyczytał zgryzotę na czole.

Chociaż inaczéj każdy opowiada,
Rzetelna prawda z sprzeczności wyrasta,
A więc się sprzeczność prawdzie często przyda.
Jedni z nich mówią że w dzień Listopada,
Prowadząc Szewców ze Starego-Miasta,
Szuja powiesić im rozkazał Żyda.
Starzec się próżno na Boga zaklina,
W zaklętym wieńcu koło pala biega,
Mowiąc że wszystko przez Moskali stracił,
Żonę, bogactwa, maleńkiego syna.
Tłum niecierpliwy wrzeszczy « wieszaj szpiega !
« Syna i żonę Szley złotem zapłacił »
Do katów czynnie sam się Szuja wmieszał
Dławił, windował, i za nogi obie
Ciągnął aż sine nie obwisło ciało;
Cóż to wielkiego ! któż Żyda nie wieszał ?
Gorzko to jednak on wyrzucał sobie :
Zawsze mu trupa widzieć się zdawało,
Próżno się starał zgłuszyć serca burze,
Bo mu się w nocy śniła broda biała,
A sen wisielec smętnym zrywał rykiem.

Kiedy się Polska cofnąć na Podgórze
Przed Rydygierem zwycięzkim musiała,
Szuja się znalazł szwabskim niewolnikiem;
A że szulera z niego było kawał,
Chodził z innemi stawiać w faraona,
I sam gracz biegły wpośród graczy grona,
Graczom, niegraczom, wszystkim przykład dawał.
Na dużym stole błyszczy bank bogaty,
Kupa portretów, i galerye całe
Srebrnych popiersi — Talary, dukaty,
Papiery żołte, różowe i białe.
W izbie, na schodach, na oknie, na ganku
Cisną się gracze od końca do końca.
Od jednéj bankier, a od drugiéj strony
Lśni się myriada oczu około banku,
Jak gwiazdy wkoło niebieskiego słońca,
A pędzel w żółci złota umoczony,
Gdy raz przejechał po szulerskiéj twarzy,
Godność Stworzenia wymazał jéj z czoła
I serce z duszą na kartę postawił.
» Stawiaj kolego, może szczęście zdarzy
» Że nas wygrana z nędzy dzwignąć zdoła,
» Głupi kto mogąc by się nie zabawił,
» Do współki!—Nie chcę, dziś bank wszystko bierze,

» Tyle sam stawię ile się pomieści,
» Dziesięć na królu; dziesięć na Walecie,
» Parol zaginam ! Czy słyszysz Bankierze ! »
—» Słyszę i Dusiów zagarniam czterdzieści.—
» Banko na Damę! Niech mnie piorun gniecie
» Damęś przerzucił,—Spadła widzisz to ta!
—»Kłamiesz bo spodem niewidzialna znika.»
—»Jutro obaczym kto z nas obu kłamie!....»
I wściekły bankier porwawszy garść złota
Jak kartaczami strzelił w przeciwnika;
Zgrany butelką zbrojne podniósł ramie,
Stołki, posadzka, ramy, okienice,
Wzniosły się razem w niecierpliwych pląsach,
Pogasły świéce, jak war się gotuje
Zgraja pociemku;—aż dwie lwie źrenice
Jakby lecące na dwóch rudych wąsach,
Łysnęły w cieniu—Każdy poznał Szuję,
I wszystkich jego przedzieliło ramie
Jak kiedy szarża gęsty tłum roztwiéra,
Bo każdy wiedział co to Szuja, i gdy
Mierząc do Asa w samo trafiał znamie,
Czart sam naszego bał się bohatéra
I próżno nie rzekł słowa Szuja nigdy!....
» Hola! Panowie, proszę nakryć karty.»

Zawołał bankier i umilkła wiara,
Ot masz szulernią!.... pole pięknéj sławy,
Kulawy trapez belkami podparty,
Niby chałupa—W środku krzywa szpara
Którędy księżyc jakby szpieg ciekawy
Cisnąc się, groźne odcieniał obrazy.—
W kącie na gnoju siedział żyd brodaty,
Łza mu spleśniała wiecznie z oczu ciekła
Jak zdrój zatruty—I po ile razy
Brzęk srebra zatrząsł ściany kruchéj chaty,
Plugawy nędzarz wzdychał w mękach piekła.
Zoczył go Szuja, zaraz mu w umyśle
Stanął wisielec—Wyleciał jak z procy,
A spać nie mogąc, przemęczył godziny
I wraz ze świstem poleciał ku Wiśle.
Nad brzegiem, oczy patrzą ku północy
Jak jednym wiatrem nagięte rośliny,
Ku jednym spisom odwrócone tarcze,
Lub łańcuch igieł magnesem potarty—

SZUJA.

Czego tam patrzysz osiwiały starcze?
Wyciągasz ręce jakbyś chciał jałmużny
Czegóż tak głośno w piersiach bije serce?

STARZEC.

Za Wisłą Zamki, stajnie, wino, charty.

SZUJA.

Nie troszcz się starcze, Zamek twój nie próżny,
Dragony bótem szlifują kobierce.
Książe Warszawski na twych koniach jeździ
A wino twoje sztab Pahlena żłopie.

STARZEC.

Pewno się puhacz w mych stodołach gnieździ
I chwast porasta gdziem posiał konopie,
Ciernie i głogi gdziem posadził drzewa.

SZUJA.

Nie troszcz się starcze jaszczyk chwast wymiecie,
Rolę twą gnoi pot rannego brańca,
Popiół szkiéletów zagony zasiéwa,
Z twoich konopi hycel stryczki plecie,
A saper dawno do przedpiersia szańca
Z twoich szpalerów struże palissady.
Czego tam patrzysz wybladły młodzieńcze?
Czy ci puściznę zostawiły dziady?

Co cię tam wabi? kto na ciebie czeka?

MŁODZIAN.

Przyjaciel, goście, kochanka, wawrzyny.

SZUJA.

Wawrzynem chyba ja ciebie uwieńczę,
Przyjaciel gnije w mieliźnie olszyny,
Gości Mikołaj naspędzał z daleka,
Oni puściznę dziadów odziedziczą.
Twoja kochanka w stepach Anabary,
Tam się z nią na raz żeni całe stado,
Tam ją miłości dziś uczą Tatary
Nahajem barwę z niéj skrobią dziewiczą,
I jak skarbowy tarczan pod się kładą.
Czego tam patrzysz wychudły kapłanie?

XIĄDZ.

Świątynia pusta i mównica niema,
Kurz brudny czerni złoto mszalnéj czary,
I ołtarz głuchy na organów łkanie,
I Boga dawać kto ludowi nié ma,
I szatan szabas pomięszał z niedzielą.

SZUJA.

Nie próżny kościół, w kościele koszary,
Jegry lederwerk na ołtarzu bielą,
Święcona w żłobie konie poi woda,
A wycior płucze łza Aniołów czysta.
Ambonę rąbią na dach do baraku;
Co dzień mszy słucha syberyjska trzoda;
Do koła mowiąc pijcie to krew Chrysta
Czaj sobie w kielich leje pop brodaty,
Aż go nie natchnie święty duch araku;
I wnet mu w oczach błyszczy ślepa wiara
W dyby, w kibitkę, w knut, pręgierz i baty,
W rozkazy dzienne i katechizm Cara.—
Czego tam patrzy ta pani w żałobie?

PANI.

Synów trzech miałam, starszy leży w grobie,
Ale mi córek dwoje tam zostało,
I niemowlęta sługa mi przechował.

SZUJA.

Nie troszcz się, córki pójdą za huzara,
Zresztą Karnetów w Warszawie nie mało;

Może już o nie jaki Kniaź się stara,
Co klan Czerkiesów na pułk przehandlował,
Z wolnego hana zrobił ci się Grafem,
I pluską Chrestów poszedł obryzgany.
Jeźli brunety tłuste i gorące,
W łaźni wyparzą, okadzą waksztafem,
Pod nóżki rzucą z kaszmirów dywany,
Rączki wymydlą w migdałowéj mące,
W szaty nasypią pachniącego ziela,
I z miękkich puchów zrobią dla nich łoże,
Za nie się jeszcze sztab cały wystrzela,
I do haremu Orłów kupi może,
Kupcy na Polki zawsze tam gotówi,
Zresztą odmiana nieszkodzi brunetom,
A wierność w końcu znudzi się i Polce;
Jak się więc sprzykrzą huzarom, sztabowi,
Grafom, Orłowom, diabłu i Karnetom,
Na wiwandierki wezną Konnopolce,
Lub jaki Kacyk z niemi się ożeni.
A więc o pomstę tak głośno nie wołaj,
Lepiéj zwycięzców rozczulić pokorą;
Synkowie twoi są osieroceni,
Lecz mama Moskwa i papa Mikołaj
Za synów własnych chętnie ich przybiorą.

O wychowanie może idzie pani?
Oh! wychowanie Książęce im dadzą!..
Świetne zasady wszczepią w nich powoli,
Reny nauczą zaprzęgać do sani,
Skóry wyprawiać olejem i sadzą,
A nawet z łuku strzelać do soboli.
Zresztą się przyszłość z powołaniem zmienia,
Jeźli wejść godni do carskich zastępów,
Na palcach liczyć nauczą bez zmyłki;
Nauczą kroku na trzy poruszenia,
Jak broń nabijać na dwanaście tempów,
Wartę luzować, chodzić na posyłki,
I rubla na rok Car jeszcze zapłaci.

Lecz gdy tak Szuja dziwnie cieszy braci,
Przybiega kapral i przerywa Szuję,
Niemem kiwnięciem tłum zagania cały,
I na paszporty palcem pokazuje.
Wozy drabiaste już za miastem stały,
Przy wozach żydy i obywatele;
Na wozach rzędem żołnierze siedzieli
Z cygarem w ustach i nabitą bronią.
Każdy się drapie, a Szuja na czele
Miejsce zabiera na mokréj pościeli.

Jedni na wozach, drudzy jeszcze gonią,
Inny za niémi, trzeci jeszcze daléj,
Tamten o domu nażalił się mało,
Jeszcze z kimś mowi o dzieciach, o żonie;
Obywatele serdecznie płakali,
Biednym wygnańcom już i łez nie stało,
Kapral *Schwind* krzyknął, bicz popędził konie.

W dali znikają galicyjskie chaty,
Na pożegnanie sercu nie stać siły.
Jeszcze się bielą olbrzymie Karpaty,
Jak siwe starce co Polskę przeżyły.
Na śnieżnych karkach wybujała grzywa
Sterczy pionowo, pioruny wyzywa,
I w gęstych lokach na ramiona spada;
Gdy zdala na nie zarzucisz oczyma,
Zdaje się że to czarownic gromada,
Do tańca stając za ręce się trzyma.
Jedna z skrzydłami w kształcie nietoperza,
Pućki, chrabąszcza, muchy lub motyla,
Kiwa się, zbliża lub odsuwa daléj;
Tamta ziewając zęby ci wyszczerza,
Albo pijana na bok się przechyla,
I czekasz kiedy o ziem się powali;

Inna jak huzar wylotem cybucha
Aniołom dymem w nos niegrzecznie dmucha;
Inna zraniona wylewa potokiem
Wały posoki, smoły albo srebra,
Jakby jéj bagnet wytoczył jelita;
A kiedy Bóg je przywali obłokiem,
A błyskawicą wybiczuje żebra,
I trąbą grzmotów po pańsku przywita,
Góra się z górą namawia i sprzecza,
Gniew w płuc głębiznach wrze, chrapie i warczy,
Całe Karpaty wrzeszczą razem hurra!
I każda dźwiga sosnę zamiast miecza,
Głaz zamiast hełmu, szubę zamiast tarczy,
A całym hufcem dzierży Babia-Góra!.....

Już w szarem niebie Karpaty utoną,
A jeszcze polskim językiem mówiono;
Jeszcze w zwyczajach i ubiorze ludu
Znać było barwę Jagiełłów puścizny
Pod ciężką warstwą niemieckiego brdu.
Zresztą jak w Polsce nakrywana grubą
Ziemia na zimę bieliła się szubą,
Zresztą jak w lubych krainach Ojczyzny,
Sioła przy strugach i stogi na łące,

Dachem z kryształu przygniecione rzeki,
Szumiące lasy, rozległe równiny,
Wichry niezgodne z puszczą się kłócące.

I tak przebiegli Morawią i Czechy,
Drogę zabiegał mieszkaniec daleki
Cieszyć wygnańców albo sławić czyny;
Nocą się dzieciak wykradał z pod strzechy
By ich zobaczyć; do spiewania chwały
Wszędzie minstrele zjawiali się jacy.
Ksiądz ich poświęcał na stopniach Ołtarzy,
Lubieżne Niemki ocz spuścić nie chciały
Z olbrzymich nosów i rycerskich twarzy,
Wszystko wołało « niech żyją Polacy!...

Daléj wygnańca czekał ucisk bratni,
Jakieś go głosy przenikały wieszcze,
Że Bóg kolebkę zrobi mu z mogiły.
Ledwie z cesarskiéj wydobył się matni,
Szczersze objęcia przyjęły go jeszcze.
W brudnych folwarkach ze wstydu się kryły
Drobne króliki milowéj potęgi,
Gdzie tylko gruzy rozbitéj Ojczyzny
Pielgrzymy w jednym przywlokły obozie,

Bo wtenczas królem zmłodniałéj niemczyzny,
Były łzą ludów maszczone włoczęgi,
Albo męczennik na drabiastym wozie,
Co za znak cały powagi i siły
I zamiast berła, miał cybuch z bursztynem;
Zamiast purpury płaszcz krwią farbowany,
I polską czapę wieńczoną wawrzynem.
Gwardyą królewską piersi braci były,
Gwiazdą na piersiach niezgojone rany,
Królestwem wszystko co zapały wznieci,
Wszystko co w duszy cześć zaplemić zdoła;
Dworem przybiegli z czterech krańców świata
Książęta, starce, kobiety, poeci,
Całe się Niemcy tłoczące pod koła,
Jak mnichy Bramy pod wóz Jagrenata.

Jeżli pamiętasz jak przed Chrystem Panem
Słał lud gałązki i togi młodziericze,
Lub gdy Inkasy przed obliczem słońca
Lecieli tłumem i bili kolanem,
Tak umajona w różnofarbne tęcze
Ziemia się mnóstwem mrowiła bez końca
Oddać hołd synom więzionéj Północy.
Bo jeszcze wolność nazywano świętą,

Kto jéj nie ufał ten był przeniewierca,
Kto jéj nie kochał, nic nie kochał szczerze,
A gdzie Apostoł dotknął ziemi piętą,
Wiara jak balsam lepiła się serca;
Z mundurów strzygła kochanka szkaplerze,
Lud na relikwie pruł stare ozdoby,
Guziki nawet zrywał uścisk bratni,
A takt mazura całą wstrząsał zgrają.
Tak gdy po mękach okropnéj choroby
Trup zapotniały westchnie raz ostatni,
W pyszne go pudło xiężą zamykają,
Słodkie kadzidło trupowi się mili,
Kwiatki przynosi aniołek maleńki
Duże łzy srebrne czarny dywan mają, (*)
Ale trupowi umrzéć pozwolili,
Za życia jemu nikt nie podał ręki,
Trup ludzi przeklął! . . . dzisiaj mu spiewają! . . .

Cóż robił Szuja? dusza niepojęta,
Drwiła z tryumfów, śmiała się z rozpaczy,
Choć całą gorycz wychyliła na raz.
Jeźli kazanie szwabskiego studenta,

(*) Maić, pstrzyć.

W Bawarskiéj knejpie zebrało słuchaczy,
Głosniéj nad wszystkich zawył Szuja zaraz,
I tak potężnéj z piersi dobył mowy,
Że wszystkie głosy zgniecione milczały
Jak kiedy w pośród żabek i szmermeli,
Wmiesza się burak dziewięcio funtowy.

Jeźli fenrychy, sztab piusów cały,
Ponczu z francuzka palić nieumieli,
Wołali Szuję— on zawsze gotowy
I zaraz w rondel rzucał cukru głowy,
Cytryny, szafran i muszkatu gałki,
Imbier, cynamon, a w korzeni braku
Nasypał pieprzu, piołunu lub soli;
Potem namieszał francuzkiéj gorzałki,
Herbaty, wina, syropów araku,
Wszystko maźnicą obracał powoli;
I jak upiory na bagnistem polu
Kiedy zwąchają gdzie się skarbiec żarzy,
I wieńcem w koło trupie wytkną głowy,
Tak gdy zapałka dotknie alkoholu
Grobową farbę lepi ci do twarzy
A każdy pijus trupem się bydź zdaje.

Naszym wydołać niemogły fenrychy
Z pochlanych niemców parskali polacy ;
Szuja szanując gościnne zwyczaje,
Ciurkiem za wszystkich wychylał kielichy,
Jeszcze wąsami wygarniał dno tacy.
Akademicy dziwili się wielce,
Bo godnych siebie zamyślali nie tu
Znaleśdź birbantów—Lecz gdy postawiwszy
Po pijanemu jajko na butelce,
Szuja je kulą strącał z pistoletu ;
Wrzały oklaski, a *bursch* najchełpliwszy
Co godłem Szui mianował się u nich,
Pewno ni kogo nie miał na zawadzie.

Kiedy się zjawił podróżą strudzony
Obóz tułaczy w Sztudgardzie czy w Munich,
Już niepamiętam; po hucznéj biesiadzie
Niemcy zwoławszy dziewice i żony
W polskie objęcia aniołów rzuciły.
Orkestra walcem lubieżnym zabrzmiała ;
I każdy rajską porwawszy potęgą
Na pierś tancerkę z całéj cisnął siły,
Jakby chciał duszę przelać do jéj ciała.
W pół pas ramieniem opasał jak wstęgą,

I jak gdy orzeł małą łanię zoczy,
Porwie struchlałą i z szybkością strzały
Spiralnym lotem w obłokach utonie,
Przymknąwszy z wstydu i miłości oczy,
W wirowych pląsach rajt-szul obiegały,
Rozkołysane Niemki na ich łonie.

Jeżli obaczy dziewunię nie śmiałą,
Przybieży Szuja, niewinną omami,
Potem opuszcza i patrzyć nie raczy.
Szał do łba przyjdzie, poi trzodę całą,
Mężów tokajem, żony całusami,
I pod oczyma popitych brzuchaczy,
Dziewczyny goni, ściska, gnie przewraca.
Kto inny kijem byłby wziął po grzbiecie
Za takie żarty, ale wszyscy wiecie
Że pewnych grzbietów kij nigdy nie maca

Z resztą choć nie miał równego na ziemi
Sobie urwisa, dodać przecież muszę,
Że jeżli sobie pozwalał za wiele
Na obcych ziemiach i między swojemi
Szuisko miało tak poczciwą duszę,
Że darowali wszystko przyjaciele.

Z nim dzielić troski, tak błogo, tak miło,
Dla niego niczem starania zabiegi,
Niebo wysileń Szui nie opłaci.
Krew, kieszeń, nędza, wszystko wspólne było.

Wpieszych pielgrzymkach, przez puszcze, przez sniegi
On na swych plecach dzwigał słabszych braci.
W nocach wśród wichrów, zamętów i gradu
W przebiegłym Szui nadzieja i wiara,
Jemu najpierwiéj przyjdzie myśl szczęśliwa,
Kto po kartofle skrada się do sadu?
Kto ogień pali, o słomę się stara?
Kto własną burką maleńkich nakrywa?
W niebezpieczeństwie bez wahań, bez zwłoki,
Kto naprzód bieży, kto rozstawia wartę?
Za wszystkich Szuja, strzegł, myślał i latał;
A gdy strudzonych sen przygniótł głęboki,
On spodnie wszystkich oglądał podarte,
Suszył, chędożył, własną zdzierką łatał.

Jeźli się rozpacz do słabych serc wkrada,
On wszystko zbywa żartem i figlami;
W dumie, w niezgodach, w cześci i w ohydzie
Szuja za wszystkich brzmi, cieszy i gada.

W braku żywności głodnych bajką mami
Dziwną o królu, prawiczce i żydzie,
Albo o czarcie, upiorze, straszydle,
I tak umysły trzyma na wędzidle,
Że o frasunku czasu myśléć mało,
Bo w głośnych płucach boleść się nie mieści.

W istocie mnóstwo mało Szuję znało,
Dziwaczne o nim bajało powieści;
To że szkielety z cmentarzów wywléka,
To że gdy piekło na szabas zadzwoni
I łza kobieca Szui nie poruszy.
Lecz nikt nie zaszedł do głębi człowieka,
Ani nieziemskiéj nie zgruntował duszy
Kiedyż gmin gienijusz ocenić wydoła! ....
Że mu dziwactwa jakieś serce truły,
Prawda, bo pewnych wyrazów się lękał,
Zdala omijał ogrody kościoła,
I choć poeta, poczciwy i czuły,
Nigdy przed Bogiem zwieszonym nie klękał
Ani kantyków smętno słodkiem echem
Filarów świątyń nie zatrząsł wymowniéj,
Niż niemi wstrząsnąć Eddeńską muzyką
Potrafi Uriel — czasem czarcim śmiechem

Krasi proroctwa nieszczęść i katowni
I w tém znajduje jakąś roskosz dziką;
Czasem jak węgle oczy mu zaświecą
Głupią radością, zemstą niezbłaganą,
To znów jak szmata ku ziemi się zwieszą.

Pewnego rana, nad Franków granicą,
Zniknął tajemnie; długo go płakano.
Pewno łzy ludzkie ni kogo nie wskrzeszą,
Wskrzeszać nie dobrze ni łzą ni wyrazem
Kogo Bóg z ziemską raz rozbratał zgrają;
Ale ty jeszcze żyjesz Szujo bracie;
W Szui dwóch Szujów oddychało razem
Szuję wygnańca Czytelnicy znają,
Szuję człowieka dopiéro poznacie.

SPIEW DRUGI.

Gdy się samolub gwarem świata znudzi
Wszędzie mu ckliwo wszystko jemu wrogiem,
Ziemię przepełnia jękiem próżnéj skargi.—
Ledwie też Szuja zbrzydził sobie ludzi,
Sam na sam znalazł się z myślą i z Bogiem
Uśmiech przeklęty przylgnął mu do wargi,
Ręką się zdawał niewidzialnéj ręki
Szukać ściśnienia— a pragnienie śmierci
Jak sprośna, w oczach osiadła mu żądza.

Miłością kraju on zowie te męki
Dnie całe szmatki puginałem wierci,
Stare krucice szmelcuje, narządza,
Jak dziecię lalką zabawia się niemi.
Murom swe czyny głośno przypomina
Powtarza jedno po razy trzydzieści,

Zawsze na piersiach nosi trochę ziemi,
Ziemię tę przywiózł z bagien Kawęczyna
I ją całuje, odwilża i pieści,
Jak wróżek wnętrza zarźniętéj ofiary,
A ksiądz relikwie swego męczennika.
Może nieszczęsny sam się oszukiwał,
Może w Ojczyznie żadnéj niemiał wiary
Któż chore serce dokładnie przenika?
Ale co pewna, to że on co zmywał
Innych szaleństwa balsamem swéj mocy,
On co łzy innych wyrazem ociéra,
Ulgi nie znalazł na własne cierpienia.

Z nad brzegów Renu wrócił ku północy,
Bieży ku Coblentz, i do Pruss się wdziéra
Po co? gdzie? nie wiem, bo co noc odmienia
Cele, jak gdyby chciał zmylić pogonie
Tajemnéj jędzy lub własnéj tęsknoty.
Tu zgrał książęcia, tutaj w pojedynku
Wystrzelał Junkrów w całym garnizonie
Tam znów na czele przedmiejskiéj hołoty
Czerwony sztandar zatknąwszy na rynku,
Powiesił grafa co dowodził twierdzą.

Zaraz niezgodne biegają powieści,
Szuja się śmieje, rumaka dopada;
Ten tak, ten owak, wszyscy sprzecznie twierdzą,
Tymczasem Szuja już o mil czterdzieści
Panny z klasztorów przemocą wykrada,
Daje im portki, pałasze i brody;
Te na bachantki te na paziów znaczy,
Z tych korpus gwardyi, wedety i rada,
I do tych hufców amazońskiéj trzody
Dodawszy Mnichów, dłużników i graczy
Po pruskich karczmach sztab główny zakłada.

Przypomniał sobie że kochać tak miło;
Zamknął się z jedną by ją kochać szczérze,
W miłości rozpacz stopiła się cała,
Lecz mu we dwa dni kochać się sprzykrzyło,
I klął na niębo że go śmierć nie biérze,
Ale półczarta, mądra śmierć nie chciała.
Jeźli się wiesza, lufę na pierś kładzie,
Rżnie się rapiérem, brzytwą, nożem, piłą;
Jeźli się nurza w ponczu, w smole, w wodzie,
Bądź że go mami własny mózg w niełądzie,
Bądź że istotnie coś takiego było,
Zaraz żyd jakiś o bieluchnéj brodzie

Jednem dmuchnięciem zdarte goi ciało,
Ostrza narzędzi odwraca oczyma
I wylot lufy odgania od czoła.
Raz mu się nawet słowa słyszeć zdało:
« *Plama Kaima lwy na sworze trzyma*
« *Bądź nieśmiertelnym, unikaj kościoła* »

I próżno bluźnił, bo na nic się przyda
Uśmiechem wzgardy uzbrajać człowieka,
Któremu trwoga przylgnęła do ciała;
Dla tego Szuję, gdy zobaczył żyda
Lub kiedy kościoł zabłysnął z daleka
Nagle dreszcz zimna jakaś przejmowała.
Przyszło mu na myśl pogodzić się z Bogiem,
Całą odwagą uzbraja się na raz,
I do świątyni śmiałym bieży krokiem;
Ale z pod ziemi przed święconym progiem
Natrętna mara wyskakuje zaraz,
I prześcieradłem migając szerokiem
Wnet go odepchnie, obali i zaćmi.

Próżno się tarza, próżno piekłu ślubi
Wszędzie go śledzi, ściga, jędza chyża.
Pomyślał sobie że pomiędzy braćmi

Przeklęta zemsta tropy jego zgubi.
Paszport fałszywy wykradł do Paryża,
I jakąś słodką w duszy ulgę doznał
Myśląc w śród dawnéj znaleść się gromady.
Do *Palais Royal* więc biegiem poskoczy,
Ale go żaden tam z naszych nie poznał....
Tak się odmienił, taki chudy, blady,
Tak w suchéj czaszce zaklęsły mu oczy,
Próżno we wszystkich one wlepia śmiało,
Każdy go stroni, każdy się oddziela
I cóś drugiemu podaje do ucha.

W oziębłéj ciżbie jednak mu się zdało
Razą dawnego poznać przyjaciela;
Głośno go woła, ale ten nie słucha
I idzie daléj— Ktoś go wziął za szpiega,
Wszystko się zaraz rozeszło po trochu,
Spójrzał do koła.... On jeden na bruku!....
Z rospaczą w sercu, po ulicach biega
Porwany pędem gęstego motłochu.
W pośród pojazdów, przekupek i huku,
Szedł zaślepiony po ludnéj pustyni,
I gdzie nie widząc, poszedł na Opera.

Szum uwertury nagle budzi Szuję —
To z Bogiem gada niebieski Rossini,
To sercom czułym smyczek raj otwiéra
Wiatr po zakrętach ciasnych rur wiruje,
Z mosiężnych kotlin w mahoniowe szyje
Maleńką jamą niecierpliwie wpada,
Z rynny wypycha czasem całe kłęby,
I jak w podziemnych korytarzach wyje;
To się lękliwie pod palcem przekrada
Jak lekki oddech w pół otwartéj gęby;
Czasem dobiegłszy wylotu obręczy
Gdy mu się uda zemknąć paszczą dolną,
Z radości krzyczy że uciekł z więzienia,
Lecz gdy w wnętrznościach puzonu zajęczy
Jakby się żalił że mu wyjść nie wolno,
Chór cały, hymny na łkania zamienia
I tak serdecznie z głębi serca płacze,
Że z pomęczonych fletów łzy ściekają....

I śpi harmonija; gdy mistrz zbudzić ma ją,
Naprzód się razem pokiwają gracze,
I znów dzwięk miękki lekko się kołysze,
Kroplami ścieka aż do głębi duszy;

Aż zabrzmi trąbka wrzaskliwa i twarda
Jak kiedy w nocy przed jutrzenną ciszą,
Chrapliwa groźba piorunu zagłuszy;
Albo gdy strofę wstydliwego Barda,
Zgniotą tupania niesfornych słuchaczy.

To dech ostatni wierconych narzędzi;
Wiatr śpi we fletach. — Mistrz smyczkiem oznaczy
Że ma poczekać. — Włosy strun się chwycą,
Włos z struną szepce, śmieje się, gawędzi
Jak zefir z wodą lub młodzian z dziewicą.
Stukanie nogi ledwie takt wybiło,
Taki roskoszny porywa cię zapał
Że się odlepić od strôn ucho nie chce;
Albo na sercu robi ci się miło
Jakby świerzbiące serce smyczek drapał,
Gdy cię po żebrach lubieżnica łechce.—
Wreszcie aniołki na arfach usiędą
Tu lekki szmerek, i przestanek mały,
Aż razem jęknie zebrana gromada,
I coraz wyżéj, *crescendo! crescendo!*
Zmieszanym głosem już chór zabrzmiał cały
Na płacze fletów ryk trąb odpowiada,
Zwolna ton w tonie jakąś zazdrość wznieci;

Stron liczna zgraja to prosi, to łaje,
Ale basetla chce panować wszędzie
Jak stara mama która burczy dzieci.

Jak morska burza to się czasem zdaje
W której szum wichrów wtoruje komendzie,
Echom przekleństwa i ślubów i prośby,
W której zamętów i piorunu groźby
Ogień armatni zakrzyczeć się stara.
To rzekłbyś znowu że się niebo żali
Na dzikie wrzaski hordy Astarotha,
Lub że to Simuum gwiżdżąc po Sahara
Kłóci się z trzodą zgłodniałych szakali;
Albo że chytra Syreny pieszczota
Trąbiące w konchy Nereidy wabi.....

Aż z zapotniałych stron palce spadają
W krótce ostatni całus, uszom gwar da,
I coraz ciszéj, i słabiéj i słabiéj...
Naprzód się wszystkie szyje wyciągają,
Jak na schwycenie ostatnich słów Barda
I się w ostatnim rozmiłują słowie.....
I biedny Szuja serdecznie zapłakał,
Zżalu ? z roskoszy ? z zgryzoty ? któż powie !....

Ale co pewna, że mu łzy ulżyły
Jakby mu z serca wypłukały zakał.

Z ciżby się wygniotł, męskiéj dobył siły,
Chustką się zakrył, z parnéj wybiegł sali,
Na pustą, chłodną, wpół-ciemną ulicę.
W czerwcu to było, w dzień Lamarqua zgonu,
Głuchy gwar buntu gdzieś tam huczał w dali,
Jak kiedy Eol wiatrom spuści lice,
Morze przygniecie nogą swego tronu,
A morze burzą na ucisk odpowie.
Zoczył trzech ludzi co tajnie gwarzyli
O królu zdrajcy, o lichéj potędze,
O płatnych zbirach — o skazanéj głowie
Na gilotynę — o stanowczéj chwili
Płacenia rzezią zgwałconéj przysiędze.

Wszystko to obce dla Szui rozumu,
Nic już ludzkiego dla niego na ziemi,
Ale od kuli umierać tak miło!..
A więc się ze dniem zamięszał do tłumu,
Siekiérę porwał, pobiegł za innemi,
Gdzie ? po co ? Szui obojętnem było,
By tylko ryczeć, mordować i zginać.

Właśnie chcąc prędzéj małe przejście minąć,
Spotkał się z czołem przedmiejskich szeregów
Uciekających przed pułkami szpiegów.
Spita hałastra z podbitemi oczy,
Jeszcze śmierdząca nałożniczym potem,
Ciasną, błotnistą zatkawszy ulicę,
Na drżących nogach chwieje się i toczy,
W ręku świszczące obraca kłonice,
Bluźni, przeklina, śmieje się i potem
Wyjąc spragniona — przez baryery skacze,
Jakby ze swory spuszczone ogary.

Dzieci, przekupki, włóczęgi, krzykacze,
Luba z kochankiem nie uważa z czyjém,
Luba bez stroża rozerwanéj pary,
Człowiek bez Boga i Bóg bez Człowieka,
Winni, niewinni, wszystko drży przed kijem
Jak kłos pod cepą, i wszystko ucieka,
Krzycząc w ucieczce « Niechaj wolność żyje !...
Lecz Szuja stanął, nie ustąpił kroku,
I pierś szeroką rzucił w poprzek zbiegów
Jak kiedy zasyp padłszy w szerz potoku,
Insze koryto czeluści wyryje,
I z przepełnionych wodę wyprze brzegów.

Jak słup stał Szuja z czołem ciętem blizną,
Wryty, spieniony, nieruchomy, blady,
Co płuc starczyło, kiepską francuszczyzną
Wołał « Citoyens ! hey do barykady ! »
I jakby święte w tém zaklęcie było,
Do świętéj pracy wszystko się rzuciło.
Podobne sfinxom co jak silne słupy
Rzędem stawiane — na arkadach z grzbietów
Dzwigają dachy wschodnich Minaretów,
Z pod barykady wyglądają trupy,
Jakby umyślnie ciosane straszydła.
Gniotą je całe rozszarpane domy,
Snycerstwa szczątki, głowy wielkich ludzi,
Swiętych półciała, Archaniołów skrzydła,
Spiące posągi których nikt nie zbudzi,
I na to bruków zwalone ogromy,
Belki z rusztowań wyrwane z żelazem;
Bogactw i gruzów dzika mięszanina
Ludzką posoką poklejonych razem,
Rośnie jak gdyby Tytanów drabina,
Wyżéj i wyżéj aż nie sięgnie chmury,
A w chmurze Piorun i Rzeczpospolita !...

Chorągiew czarną dźwignięto do góry,

Chór święte godło okrzykami wita
Aż sztandar pokrył szaniec baldachinem,
Na szańcu Wolność w postaci kobiety,
A na jéj głowie obwianéj wawrzynem
We krwi królewskiéj zbroczona szlafmyca.
Pierś z alabastru odkrytą niedbale
Ranią ciemiężców zatrute bagnety;
Łzy gorzkiéj nędzy wyżarły jéj lica
Boleść i smutek jeszcze w oczach — Ale
Nim boleść rajską duszę jéj przeziębi,
Z krateru mózgu zlęgła błyskawica
Mignie w chaosie i boskim promieniem
Jaśniejąc we mgle dojdzie do serc głębi
Jak gdy w podziemia długo czarne cieniem,
Jaskrawym blaskiem uderzą pochodnie ! ! !

Szumne to wszystko, lecz niezrozumiałe,
Ot lepiéj patrzaj na Szlachcica Szuję,
Jak paląc fajkę rozparł się wygodnie
Na barykadzie — Jak pospólstwo całe
Garnie się wkoło, wrzeszczy, wykrzykuje;
Z płuc wytężonych, jakby z rur organich,
Piekielnych przekleństw wylewa strumienie.
Głodnych poetów, dumnych bez pieniędzy,

Mędrców bez chleba, bohatérów w nędzy,
Tyle ich że się bruk pod niémi zginał
Jak stół pod złotem — Trupy przy nich, na nich
Święte łachmany, podarte odzienie
I brudna skóra — Na sercu puginał,
A w sercu wiara, nadzieja i WOLNOŚĆ.

I czyjaż chmarze rozkazuje zdolność ?
I któż był wodzem całej téj gromady ?
Danton, Kiliński, czy mnich zagorzały,
Weteran może albo Książe jaki ?
Za kimżeż biegła ? w czyjeż brnęła ślady ?...
Oj dziś nie ludzie prowadzą do chwały,
Rad nie słuchają przedmiejskie Krzyżaki;
Dzwon buntu hasłem wyjarzmionych braci,
A wielkim mistrzem GŁÓD i córka głodu
RZECZPOSPOLITA — Ci berła wytrącą
Królom w objęciach nałożnic pojmanym.

GŁÓD ojciec Łazarz olbrzymiéj postaci,
Upior karmiony krwią złego narodu,
Szkielet bez ciała ze skórą wiszącą
Jak mokra żagiel na maszcie złamanym
Wychudły starzec co łbem dachów sięga,

Co krzyże świątyń wysokich całuje
Całusem zdrajcy — Odwaga, potęga,
Rozum i wdzięki, wszystko przed nim klęka;
Bo ledwie dusza jego dech poczuje,
Ledwie potworu pokaże się ręka
Z piętra do piętra żebrząca jałmużny,
Tajemny postrach przejmuje człowieka.
Naprożno walczysz, duch i żywot próżny,
Bo całe męztwo z serca ci wycieka,
I w miejscu ducha, żywotu i męztwa,
Piekło ci w sercu na szabas osiędzie,
Zaćmi cię szałem strasznego przekleństwa,
I da ci w rękę rzeźnickie narzędzie.

I kogo starzec wyschłą dotknie kością,
Piana gorąca ciało mu wypala,
Dzwonią mu zęby targane wściekłością
Jak gdyby pogrzeb wydzwonić mu chciały;
Szatan mu w żyły napuszcza truciznę,
Pachnie mu mięso jak suce szakala,
Pachnie mu ścierwo i za chleb spleśniały
Sprzedałby brata, Boga i Ojczyznę....
I okropnością radośny obrazu,
Tancuje szkielet — wyciąga ramiona

Jak gdyby miasto całe chciał od razu
Na łono zgarnąć i przygnieść do łona.
Przy Starcu Córka, ta kochanka Ludu,
Mięszaniec Bóstwa i marzeń bezbożnych,
Przeszły Serafin wygnany z niebiosów
Na karę królow, zaborców i możnych.
Chociaż dziewicę czas w mordach wypławił,
Jakby na zmycie niebieskiego brudu,
Choć po rynsztokach tarza żagiel włosów,
Choć białą stopę bruk ostry pokrwawił,
Choć dech Anioła węch hieny mami,
Choć się zachrzypła wrzeszcząc po ulicach,
Pijąc z hołotą i skacząc z Czartami,
Jeszcze kraśniejsza od wszystkich Aniołów;
A jak jéj młodzież pot z piersi wyliże,
A Bóg otrzęsie wierzch czaszki z popiołów,
Zaśkłni się duma w jéj karych źrenicach
Jak dwóch kościelnych wieżyc złote krzyże;
I w tych dwóch Księgach wyczytacie jeszcze
Przyszłych pokoleń nieśmiertelne czyny,
Upadek tronów, wszystkie głosy wieszcze
Głów zmartwychwstałych w koszach gilotyny.

Gdy patrzysz na tę młodą Czarownicę,

Nie wiesz czy przekląć, czy ubostwić trzeba;
Bo cóż że głupią ciszą się poszczycę ?
I przez krwi morza jest droga do Nieba,
I na przeklętem bogi ryją czole
Piętno gieniuszu, potęgi i wiary !...
Gwałcąc się palisz do dziewiczych wdzięków,
Bluźnisz na Boga co stworzył niewolę,
I upojony jéj dzikim uśmiechem,
Jak gdybyś z grobu wyzywał ofiary,
Głuszysz cmętarze nieskończonem echem
Wrzasków, piorunów, skarg, rzezi i szczęków !..

Rzeczpospolita !.... przelotnik skrzydlaty,
Którego wzięto za wszystko i za nic ;
Co wiek się w zbroję odmienną ubiera,
Co wiek się w lżejsze lubi stroić szaty,
I kroki mierząc od granic do granic,
Co wiek małżonka innego wybiera.
To w rzymskiéj todze, to z szarfą bogini,
Lecz wieczna cnotą któréj nieutraci,
Wszędzie się zjawia — wszędzie pędzi lotem,
Z Aten do Rzymu, z Rzymu do pustyni,
Z tamtąd do pieczar chrześciańskich braci —
Długo się kryje — z Filadelfii potem

Bramą Bastylii wjeżdża do Paryża.

Mownicą dla niéj świątynie, ulica,
Rynek, warsztaty, miasta przestrzeń cała;
Kiedyś to była zaślubioną krzyża,
Poźniéj rycerzy, szewców nałożnica,
Wszystkich do łona swego przyciskała,
I zawsze panną jakby matka Boga !...
Dzisiaj oblicze przywdziała człowiecze,
A za nią w rozpacz zamieniona trwoga
Ul cały ludu pod kartacze wlecze.

Patrzaj jak z szczerbów wywalonéj kraty
Sypie się chmara przez rynny obiedwie;
Na niéj liberya ubóstwa i zgrozy
Łaty na łatach a na łatach łaty,
Spleśniałe krymki, i z czego zaledwie
Do szubienicy ukręcić powrozy.
Niby axamit, niby sukno, ale
Oko napróżno barwę na niém śledzi,
Tylko przegniła od potu koszula
Pływa na barkach zwieszona niedbale;
Broda kudłata i zarost niedźwiedzi,
W których jak w tarczy zatrzyma się kula.

Hasło odporu z ust do ust przelata,
Wściekli na przodzie, roztropni za niemi,
Lecz wszystko rzędem po za szańcem stawa.
To lud francuzki!.... to panowie świata,
Dumne olbrzymy co nadały ziemi
Krwią tylu królow pobazgrane prawa —
To lud francuzki, obdartus bohater,
On spi na bruku, lub się w lochach kryje,
Ciało mu suszy głodu łza gorąca,
Lecz gdy szeroką jak Heklejski krater
Otworzy paszczę — a kiedy zawyje
Krzykiem złożonym z okrzyków tysiąca,
Głośniej niż armat trzysta ryczeć zdoła,
Naprzód ze wszystkich okien lecą szyby,
Potém małpując trąbę Archanioła
Panów wypłasza z rozkosznéj siedziby;
Mury padają — I wśród strasznéj cieni
Jakiś się upior pokazuje blady,
Umarli wstają — z grobowych kamieni
Spiesznie budują sami barykady;
Kościc na czaszkach ciemiężców druzgoczą,
Strzelają łbami swemi nawet czasem,
I tłumem lecą na ludu rozkazy
Jak wywołani potęgą proroczą,

Lub nekromenta zaklęci szabasem.

Straszne to widmo — Ale ile razy
Lud przygniecίony łzami krwi zapłacze,
I hymny zemsty z armaty zanuci,
Widmo się wznawia — blednieją tyrany,
Potnieją z trwogi ministry — bogacze
Trwogą do puchów łabędzich przykuci,
Próżno za grube chowają się ściany;
Próżno strach progi szańcami zaściela,
Bo chytra kula do środka wpadając
Węchem wyszukać ofiary się stara,
Rygle otwiéra, i jak łeb mściciela
Do twarzy gości swoją twarz mięszając
Szczerbami pisze losy Baltazara.

SPIEW TRZECI.

Gdy się lud zebrał i stanął na roty,
I jak warzony w dużym kotle olej
Ostygł choć jeszcze nie uspokojony,
Błysnęły pułki królewskiéj piechoty;
Witał je Książe i obejrzał w koléj.
Rzędem do desek przybite plótony
Na elastycznych drutach zawieszone,
Jakby pedałem popchnięte klawisze,
Poczęły gwizdać w stalowe piszczałki,
Dzwonić rurkami, i plując na stronę
Prędzéj daleko niż pióro opisze
Razem ogryzać ołowiane gałki,

I w jakiś otwór upuściwszy mały,
Mocno stęplami przybijać je do dna
Jak gdyby diabła w flasze zamykały;
A gdy ostatnia przybitka zajękła,
Złowroga bladość walecznych niegodna
Białawem wapnem wszystkim w twarze wsiękła
Jak kiedy serce pogrzebnéj spowiedzi
Po raz ostatni lepi się do miedzi.
Do ulic tylko naprzód wojsko straż da,
Kto chce się wymknie znanemi pieczary
Albo poterną, lecz się i poterna
Jedna po drugiéj zatykała każda,
Aż zagarniętéj w kupę jedną chmary
W pierścienie obręcz spasawszy niezmierna,
Srebrnym grzebieniem najeżonych szyków,
Jak krzywéj piły dośrodkowa siła,
Albo kolczate stryki męczenników
Oblężonego ludu nie zdławiła.

Tak kiedy w krajach wielkiego Mogoła
Dla ucieszenia serajowéj żony
Nabada strzelcy, Murzyny i sługi
Tygrysa w puszczy obsaczą do koła,
Jakby tłum sępów połowem zwabiony

Licznéj obławy łańcuch naprzód długi
Zwolna się kurczy i do środka wije,
Póki koliskiem zacieśnionéj matni
Nie zamknie zwierza w zakrwawionym gniezdzie.

Pan *Maire* przyjechał i niezgrabną szyję
Z kocza wyciągnął — A kiedy ostatni
Werbel zahuczał — Rozparł się w pojeździe
I krzyczał jadąc graniczną aleją :
« Zaraz gałganów tych wpień wyrznąć trzeba,
« Za barykadą kto dłużéj zostanie
« Niech pacierz zmówi — Te durnie szaleją !
« Mnie się jeść nie chce, oni wrzeszczą chleba,
« Możnaż bydź głodnym gdy Maire zjadł śniadanie? »
W téj właśnie chwili młodzieży gromada
Długim się rzędem pod ręce trzymając,
Jak łańcuch ramion do alei wpada,
I Marsylianów hymn święty śpiewając,
Stara się echem przedpółwiecznéj chwały
Dzisiejszych głupców bajanie zagłuszyć;
I choć pod groty zbliżyła się cała,
Tak że ich piersi gołe dotykały,
Żaden się bagnet z miejsca nie śmiał ruszyć,
Jak gdyby wstydził się nagiego ciała.

Może żalami rozczulone braci
Serca by były szukały pokoju,
Ale pijawki co krew buntu piją,
Którym od głowy ściętéj ktoś tam płaci,
W imie *Porządku* zaczęły do boju
Zachęcać pułki — I obręczą zmiją
Potężny szaniec obchodząc z daleka,
Wytrysnął ogień z czterech ścian rotowy,
I znak do rzezi wydał .... morderca.

Jak kiedy trwoga przeziębi człowieka,
Z wszystkich komórek wstrząśniętéj budowy,
Zaraz krew cała zbiegnie się do serca,
Tłum niezliczony do środka się zbliża,
Napędza, garnie, zamiata, naciska,
Wszystko co swoje z nim chce mierzyć siły;
I z za obwodów ludnego Paryża
Do zatlonego zlatując ogniska,
Groźne przedmieścia, wojsko otoczyły.

« Brońcie się mężnie ! Ja z tyłu napadłem ! »
Ryczał siekając żywych i poległych
Szuja lecący od przeciwnéj strony.
I tak pomiędzy młotem i kowadłem

W podwójnéj prasie szańca i nadbiegłych
Żywo zgniecione królewskie plótony,
Jak maść w moździerzu morduja się na dnie.

Dziki chór wrzasków tryumf ludu sławi,
A miecz po murach krwią pisze pamiątki,
Lecz jak gdy trupa mrowisko opadnie,
Ciało wybierze a szkielet zostawi,
Zwycięski rokosz zbite odbiegł szczątki
I po kawiarniach biegł dzielić wawrzyny.
Znać zaraz dają rojalistów czaty,
Najemne brzuchy szańcują despotę;
Lobau i Bugeaud nie tracąc godziny,
Na przedłużnicy prowadzą armaty
I kartaczami mszczą zbitą piechotę....

Porozganiana nagłością napadu
Chmara w nieładzie gna odwrotem raka,
I opuszczony bruk krwią własną płucze.
Na świst złowieszczy żelaznego gradu,
Na taniec kuli co jak łeb pijaka
To tę to ową w koléj ścianę tłucze;
I jak ząb sochy, z jednego zagonu
Zagonów szerszych, ryje zaraz cztéry,

Wszystko co żyje uchodzi do schronu
Zgotowanego w kościele Saint-Mery
I drzwi trumnami świętych tarassuje.

Kościoł szwadrony opadły do koła;
A uciekając zmieszana gromada
Pędem nacisku uniosła w tył Szuję;
Ale się sparłszy o wschody kościoła
Stanął wszerz bramy jakby barykada,
I w miejscu miecza dzierżąc pniem latarni,
Jednym zamachem całe zwalał roty,
Gniótł, tłukł, przewracał, w trupiém masle pływał,
Lecz umrzéć nie mógł ni skończyć męczarni.
Próżno pierś nagą wystawiał na groty,
Próżno szwadrony z szyderstwem wyzywał,
Bo drżące kule olbrzyma mijały,
A nawet widzieć razą mu się zdało
Że je odganiał jakiś żyd brodaty.....

Z okien kościoła promieniste strzały
Jak wieniec boski oświecały całą
Przestrzeń do koła — wtem cztery granaty
Gruchoczą bramę — bruk się trupem ściele,
Bagnet do środka ryje sobie drogę

I Szuję z bramą wgłąb kościoła tłoczy !....
Widząc nakoniec się Szuja w kościele,
Przypomniał sobie tajemną przestrogę
Ręce skrzyżował i zamrużył oczy.

Warczący granat w podskokach się zbliża,
Święty Krucyfix w samo trafia serce,
I w ścianie wierci promieniste koło !
Ogromny Chrystus zaraz zleciał z krzyża
Pierśią z kamienia przygniótł przeniewiercę
I zimną gębą pocałował w czoło.....
Pół-trup się trzepie, gnie, wypręża, rzuca,
Niby chce krzyczéć, niby to cóś gada,
Ale mu usta zamknął Chrystus niemy,
I tak potężnie przydusił mu płuca
Że się chrapliwy tylko szum wykrada,
Jak kiedy palcem dech rogu zatkniemy.
Jęk mordów zewsząd już otacza Szuję,
Mózg w szmatach pryska na stopnie ołtarzy,
Bagnet z siekierą po ławkach się gania,
Ale męczennik.... nie słyszy, nie czuje
Cóś mu się tylko niewyraźnie marzy
Szałem gorączki, i pół-snem skonania.

SEN.

Wąwoz ciasny, mglą przyduszony. — Wicher gwiżdże po stokach góry. — Żyd staruszek osiwiały z urwanym stryczkiem na szyi w palce dmucha i obchodzi djabła na szyldwachu stojącego. Djabeł jest w mundurze gwardyi narodowej francuzkiéj, bez wcięcia, w za krótkich spodniach i z rogami na czole które mu kaszkiet w tył odrzucają.

SALATHIEL.

Płaczą nędzarze, płaczą i bogacze,
Łza jak całusy ich powieki ślini,
Mnie całéj ziemi łkanie nie poruszy,
Kogoż mam płakać gdy mnie nikt niepłacze?
Po srebrnym zdroju co spiekłéj pustyni ?
Po łzach litości co żydowskiéj duszy ?

Jak kajdaniarza do nie swojéj kuli
Przykuł mnie diabeł do ludzkiéj postaci
I w braniu piekła postawił na wartę
Dzisiaj mnie niebo do się nie przytuli;
A choć przytuli mąk mych nie zapłaci
Bom więcéj cierpiał niżli niebo warte.

Na ziemim cierpiał za braci i siebie
Długo się włóczył Salathiel obdarty

Czas mu do grobu — niech wieko zapada —
Do nieba nie chcę — Bo co mi po niebie
Gdzie na hulankę zjeżdżają się czarty,
Gdzie Bóg odźwiernym Bogiem Torquemada.

Wolę do piekła, lepiéj w ciepłym grobie
Tam leżeć będę na trzosach pieniędzy
W złocie topioném będę pływał sobie.
Oh! he! Szatanie słyszysz? otwórz prędzéj!

SZYLDWACH.

Poszedł precz żydzie! co cię tu przywlekło?
Kości mamuta smoła nie przepali,
Jeżli chcesz grobu idź poszukaj daléj,
Bo tu cię nie chcą — Nie dla żyda piekło.

SALATHIEL.

Czas mój wybyłem, i spełnione śluby
Z staréj klepsydry już wszystko wyciekło,
Ja i syn cieśli przed sąd diabła stajem —
Prób chcesz? przez jakież nieprzeszedłem próby?

Kto żył na ziemi temu niczém piekło,
A kto żył jak ja, temu piekło rajem.

Dziś się uśmiecham z Alcydowéj pracy
On raz żył tylko i na los się żali,
Ja trzystu potomstw jestem pośmiewiskiem
Mnie Turki, Włochy, Hiszpanie, Polacy
Jak starą piłkę sobie podawali,
Aż się za łatwem znudziwszy igrzyskiem
Widząc że kosa za leniwo garnie
Nie znane czartom zmyślili męczarnie.
Ale naprożno, *bo plama Kaima*
Lwy i miecz Kata na uwięzi trzyma.
A śmierć się strzeże jak Francuz zarazy.....

Aby Lud Rzymski uczciwie zabawić
W Tygrysiéj paszczy byłem po trzy razy
I trzy mnie razy paszcza wyrzygała
Jakby nie mogąc złego ścierwa strawić.
War inkwizycyi nie lgnął mi do ciała
I w twardéj skórze nie mógł wyjeść rany, —

Powrozy na mnie jak nić się zużyły
Na karku moim pękł las kijów cały;

Pal, szubienica, pręgierze, kajdany,
Kleszcze, topory, nożyce i piła
Jak o kowadło wszystkie się strzaskały,
Ledwie knut carski i bat Radziwiła,
Hartowne żebra troszeczkę poznaczy !....
I myślisz może żem ja skarby zebrał ?
Bom tysiąc sześć-set lat po dworach żebrał!....

Jak głupi szakal co dla Lwa poluje
Chciwość włóczęgi obcy skarb karmiła—
A on ubogi, po wiekach rozpaczy
Wszystkie te wieki na swym karku czuje;
Wszystkie te wieki ciężą mu na grzbiecie,
Jak głaz Syzyfa dany zamiast płaszcza !....

Łańcuchem, djabeł szyję wiąże złotym
Aż do niéj rakarz stryczka nie uplecie;
W nocy mi smołą kat brodę namaszcza,
Zamiast kagańca podpala ją — Potym
Z gęby spokojnie wyjmując cygaro,
Pyta gdzie worki, dla króla, dla siebie ?

Jeźli się pacierz czarcich uszu lepi
Boże ! Szatanie ! ciemiężco ! ofiaro !

Przez chór Lewitów co śpiewa w Erebie,
Wpuść do Erebu, bo w Erebie lepiéj!....

SZYLDWACH.

Wierzę że lepiéj, i choć diabeł ze mnie,
Łzy mi wyciskasz nieszczęśliwy żydzie
Ale dalibóg wpuścić cię nie mogę.

SALATHIEL.

Kiedy się boisz to mnie wpuść tajemnie,
Powiedz mi tylko gdzie ta scieszka idzie,
Innych się braci zapytam o drogę.

SZYLDWACH.

Widzisz gdzie jasne buzują się skwary,
Idź naprzód wzgórzem a na samym szczycie
Otwór gdzie schodzi drożyna wygodna....

* * * *

Jak sosem, własnym podlewana potem,
Na polskiéj lancy w kącie się dopieka.

Wszystkie te reszty dla kuchcików były,
Bo pany objad już pożarłszy cały,
Ustać nie mogąc mocą własnéj siły,
Porozwalane na ziemi leżały.
Ten już pod stołem, tam ten pod stół leci,
Trzeci choć szatan coś szepce o Bogu,
Panowie, goście, czarci i poeci
Rozkołysani roskoszą prawdziwą,
Zmięszani razem chrapali w barłogu.

Każda bachantka poetę przyciska,
Szyję mu wiąże rozczochraną grzywą,
I słodkie szemrze do ucha nażwiska.
Piana roskoszy bokiem warg się leje
Drżące ramiona lepią się do ciała
Jak do śpiącego grzechotnik murzyna.
I w Salathielu budzą się nadzieje
Przed błędną pamięć staje przeszłość cała,
Dawne zapały piekło przypomina;
Głaszcze się starzec, aż marszczków nie zetrze,
Chuć sprośna kipi się z ropiałego oka

I naga w raju marzy mu się Ewa.

Jak żywe srebro grzane w termometrze
W starych się żyłach buzuje posoka,
Aż pełne serce gębą ją wylewa;
I wsciekłą febrą kruchy dziad targany,
Skrywszy ze wstydu w śnieżnéj brodzie lica,
Rzucił się w rynsztok rozmydlonéj piany
Gdzie się pijana pluskała diablica.
W ciepłe objęcia rzuca go rozpusta,
Jak giętką szynę w kowalowe kleszcze;
Całuje w piersi, i całuje w usta,
Tonie w całusach i całuje jeszcze,
Mili się, wzdycha, wdzięczy i uśmiecha,
Aż śmiech serdeczny szczęki mu fałduje
Jak starą irchę dziurawego miecha....
Co daléj było..... Już nie widział więcéj,
Tylko ktoś mruknął że w dziewięć miesięcy,
Jędrna diablica porodziła Szuje —
A ktoś te jeszcze trzy słowa domieszał,
« Pamiętasz synku kiedyś papę wieszał »?.....

KONIEC.

NAKŁADEM AUTORA
W DRUKARNI BOURGOGNE ET MARTINET, RUE DU COLOMBIER Nº 30.